



w
y
k
w
i
n
t
n
e

Poppy Z.

B
R
I
T
E

ZWŁOKI

Przełożyła Jolanta Kozak



**W
y
k
w
i
n
t
n
e**

Poppy Z.

**B
R
I
T
E**

ZWŁOKI

Przełożyła Jolanta Kozak

**MO
VA**

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Exquisite Corpse

Redaktorzy prowadzący: Marta Budnik, Wojciech Ciuraj

Wydawca: Wojciech Ciuraj

Redakcja: Bożena Sęk

Korekta: Sylwia Zazulak

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Ilustracja na okładce: © EdeStudio, © Andrey Kiselev / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © levgen Skrypko, © Karjalas, © photka, © ptewort, © Cepрей

Васильченко, © Vladimir Liverts / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Exquisite Corpse

Copyright © 1996 by Poppy Z. Brite

All rights reserved

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiecte

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Jolanta Kozak, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-265-0

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl



1

Czasami człowiek się zmęczy dźwiganiem wszystkiego, co świat zwała mu na głowę. Ramiona opadają, kręgosłup boleśnie wygina się w pałąk, mięśnie drżą z wysiłku. Nadzieja na ulgę przygasa. I wtedy człowiek musi zdecydować, czy zrzucić z siebie ciężar, czy znieść go, aż kark mu trzaśnie jak sucha gałąź jesienią.

W takiej sytuacji znalazłem się pod koniec trzydziestego trzeciego roku życia. Zasłużyłem wprawdzie na wszystko, czym świat mnie obarczył – a także na pośmiertne udręki, jakich nie zna ten świat: katowanie szkieletu, gwałt i rozczłonkowanie duszy nieśmiertelnej – jakkolwiek jednak zasłużyłem na to wszystko, i więcej, stwierdziłem, że dłużej nie zniosę tego brzemienia.

Po prostu uprzytomniłem sobie, że nie muszę go znieść. Pojąłem, że mam wybór. Nawet Jezusowi musiało być ciężko znieść udrękę krzyża – brud, pragnienie, okrutne drzazgi wrażliwe się w galaretowate mięśnie dłoni – skoro wiedział, że ma wybór. A ja Jezusem nie jestem, nawet w połowie.

Nazywam się Andrew Compton. W latach 1977–1988 zabiłem w Londynie dwudziestu trzech chłopców i młodych mężczyzn. Zacząłem jako siedemnastolatek, miałem dwadzieścia osiem lat, gdy mnie złapali. Przez cały czas w więzieniu wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek mnie wypuszczą, będę zabijał dalej. Ale miałem przy tym pewność, że nie wypuszczą mnie nigdy.

Moi chłopcy i młodzi mężczyźni byli w mieście przejazdem: bez przyjaciół, głodni, spragnieni, odurzeni pierwszorzędną pakistańską heroiną, która krążyła w londyńskich żyłach od *swinging sixties*. Dawałem im porządne jedzenie, mocną herbatę, ciepłe miejsce w łóżku i te nieliczne rozkosze zmysłowe, na które stać było moje ciało. W zamian żądałem tylko ich życia. Niektórzy rozstawali się z nim równie chętnie, jak z byle jaką własnością.

Pamiętam skinheada o sarnich oczach, który poszedł ze mną do domu, bo uznał, że jestem sympatycznym białym facetem, a nie parszywym zbrojcem, jak większość tych, co go zagadywali w pubach Soho. (Co on sam robił w pubach Soho – nie mam pojęcia). I nie był skłonny zmienić zdania, nawet kiedy mu obciągnąłem i wetknąłem w odbył dwa dobrze natłuszczone palce. Potem zauważyłem, że ma tatuaż wokół szyi: szkarłatną kropkowaną linię, a pod nią napis CIAĆ TUTAJ. Wystarczyło zastosować się do instrukcji. („Wyglądasz jak parszywy zbrojeniec”, oświadczyłem jego bezgłowemu ciału, ale Paniec Biały Anglik nie miał już nic do powiedzenia).

Większość moich dwudziestu trzech ofiar uśmierciłem przez poderżnięcie gardła. Nożem albo brzytwą przecinałem główne tętnice pijanym do nieprzytomności. Zabijałem w ten sposób nie z tchórzostwa czy z niechęci do szarpaniny – chociaż nie jestem

WYKWINTNE ZWŁOKI

potężny, pokonałbym w uczciwej walce każdego z moich naćpanych głodomorów. Podrzynałem im gardła przez szacunek dla pięknych obiektów, którymi stawały się ich ciała. Podziwiałem szkarłatne wstążki krwi wijące się po aksamitnej skórze i miękko rozstępujące się mięśnie. Dwóch utopiłem w wannie, a jednego udusiłem sznurówką wyciągniętą z jego własnego martensa, kiedy leżał w pijackim stuporze. Ale większość zabiłem przez podcięcie gardła.

Nie chcę przez to powiedzieć, że rozczłonkowałem ich dla własnej przyjemności. Ćwiartowanie zwłok w ogóle mnie nie rajcowało, przynajmniej wtedy jeszcze. Zachwycał mnie za to cichy szept i poślizg brzytwy. Podobali mi się moi chłopcy w tym stanie: takie duże lalki z krwawiącymi dodatkowymi ustami. Trzymałem ich u siebie nieraz do tygodnia, dopóki smród w mieszkaniu nie stał się zbyt oczywisty. Mnie zapach śmierci nie brzydził. Przypominał woń ciętych kwiatów trzymany zbyt długo w niezmienną wodzie – ciężka, mdląca słodycz przywierała od wewnątrz do nozdrzy i z każdym oddechem zbierała się w gardle.

Ale sąsiedzi się skarżyli, więc musiałem wymyślać coraz to nowe usprawiedliwienia, a to że dawno nie wyrzucałem śmieci, a to że sedes mi się zatkał. (Było to upokarzające i w sumie nieskuteczne, bo właśnie sąsiad wezwał w końcu policję). Kiedy szedłem do pracy, zostawiałem chłopaka w fotelu, żeby czekał cierpliwie, aż wrócę. Brałem go później do łóżka i przez całą noc tuliłem woskową, zimną gładkość. Przez dzień, dwa, tydzień nie czułem się samotny. A potem przychodził czas na następnego.

Piłą przecinałem delikwenta na pół w pasie, oddzielałem ramiona od tułowia, nogi obcinałem na linii kolan. Poszczególne części wpychałem do worków na odpady organiczne, które maskowały

ich osobliwe kształty i smród, i wynosiłem do śmietnika. Potem piłem whisky, dopóki pokój nie zaczął wirować mi w oczach, rzygałem do umywalki i zasypiałem z płaczem po kolejnej straconej miłości. Estetyką ćwiartowania zachwyciłem się znacznie później.

Teraz jednak siedziałem w obskurnej celi Painswick, Więzienia Jej Królewskiej Mości we wsi Lower Slaughter, nieopodal przemysłowych ugorów Birmingham. Ponure nazewnictwo ma budzić lęk i siał zwątpienie w duszy – co też czyni. Znaleźć je można na każdej mapie Anglii, tak samo jak miejscowości o nazwach Grimsby, Kettle Crag, Fitful Head, Mousehole, Devil's Elbow, czy Stool End Farm. W Anglii nie żałuje się osobliwego kolorytu, nadając nazwy miejscowości, choćby i były odstręczające.

Gdy mnie tutaj wepchnęli pięć lat temu, rozejrzałem się po celi z niemalym zaciekawieniem. Wiedziałem, że zaliczyli mnie do więźniów kategorii A. (Do kategorii D należeli najmniej groźni, do C i B – typy, do których lepiej nie odwracać się plecami, zaś w kategorii A łądowni, oczywiście, niereformowalni mordercy). Gazety mnie ochrzciły „Wieczystym Gospodarzem”, a mojemu popolitemu, czarno-białemu wizerunkowi nadały rys demoniczny, czyniąc z niego ikonę zła. Ze sto razy przeszukali pieczołowicie moje mieszkanie. Proces w sądzie był cyrkowym spektaklem najpodlejszego gatunku. Uznano, że moja ewentualna ucieczka byłaby wielce niebezpieczna dla społeczeństwa. Do śmierci miałem więc pozostać więźniem kategorii A, wpatrzonym tępo w ponurą wieczność poza czterema zapleśniałymi ścianami tej celi.

Nikt nie mógł mnie odwiedzić bez zgody dyrektora więzienia – a i to pod ścisłą obserwacją. Miałem to gdzieś; wszyscy, których kochałem, już nie żyli. Nie miałem pozwolenia ani na

naukę, ani na rozrywki, ale i tak nie chciałem się już niczego uczyć i nie pragnąłem rozrywek. Światło w mojej celi paliło się nieustannie dzień i noc, jego powidok miałem utrwalony pod powiekami. Z dwojga złego wolałem wpatrywać się w swoje unurzane we krwi ręce.

Poza rozjarzoną żarówką i haniebnymi rękami miałem żelazne łóżko przytwierdzone do ściany i nakryte cienkim, gruzłowatym materacem, rozchwiany stolik, krzesło i nocnik. Często pocieszałem się tym, że mam przynajmniej nocnik, ale co to za pociecha – zwłaszcza w zimowe ranki w Painswick. Cały ten dobytek mieścił się w kamiennej skrzyni o wymiarach trzy i pół na cztery metry.

Ciekaw byłem, ilu więźniów Jej Królewskiej Mości zdaje sobie sprawę z tego, że dodatkowe pół metra wzdłuż bocznych ścian stanowi wyrafinowaną formę tortury. (Oscar Wilde, gdy go przeganiali w łańcuchach wokół spacerniaka, stwierdził, że skoro Jej Królewska Mość tak traktuje swoich więźniów, to widać nie są jej potrzebni). Kiedy patrzyłem dłużej na tę ścianę – a inaczej patrzeć na nią nie umiałem – asymetria celi raziła mnie w oczy. Niedoskonały kwadrat dręczył mnie przez ponad rok. Wyobrażałem sobie, że wszystkie ściany dośrodkowują się ze zgrzytem, odcinają upiorne pół metra i kruszą się powoli wokół mnie. Stopniowo jednak przywykłem, co mnie zmroziło nie mniej niż dawna tortura. Nigdy nie lubiłem przyzwyczajając się do czegokolwiek, zwłaszcza gdy nie dawano mi wyboru.

Kiedy zrozumieli, że nie będą mieć ze mną kłopotu, dostałem tyle zeszytów i ołówków, ile chciałem. Z celi nadal wypuszczali mnie rzadko, tylko na samotną gimnastykę i pod prysznic. Nijakie, brejowate posiłki przynosili milczący strażnicy o twarzach jak ze

sceny Sądu Ostatecznego. A przecież nie mogłem nikomu zrobić krzywdy ołówkiem, tym bardziej że spisywałem grafity na kołek.

W pierwszym roku zapisałem dwadzieścia zeszytów, w drugim trzydzieści jeden, w trzecim dziewiętnaście. Przez cały ten czas byłem bliższy poczucia winy niż kiedykolwiek w życiu. Czułem się, jakbym przespał jedenaście lat i obudził się w świecie, który ledwo poznaję. Jak mogłem popełnić dwadzieścia trzy morderstwa? Skąd brała się we mnie chęć zabijania? Usiłowałem zgłębić własną duszę słowami. Drobiazgowo roztrząsałem swoje dzieciństwo i układy rodzinne (dołujące, ale przecież nie traumatyczne), życie seksualne (poronione), moją karierę urzędniczą w kilku resortach (całkowicie nijaką, jeśli nie liczyć kilku zwolnień z pracy za niesubordynację).

To uczyniwszy, z niewielkim zresztą dla siebie pożytkiem, przystąpiłem do pisania o swoich bieżących zainteresowaniach. Odkryłem, że z upodobaniem mnożę opisy zabójstw i aktów seksualnych z młodymi nieboszczykami. Przypominałem sobie drobne szczegóły, jak ten, że odcisk palca utrwała się na udzie trupa niczym w wosku, albo że zimna strużka nasienia wypływa z wiotkiego penisa, gdy toczę go po języku.

Jedynym stałym motywem moich więziennych zapisków była przemożna samotność bez wyraźnego początku i wyobraźalnego końca. Ale trup ma tę zaletę, że cię nie opuści.

Z czasem zrozumiałem, że te wspomnienia są moim zbawieniem. Już nie chciałem wiedzieć, dlaczego popełniałem pewne czyny, jeśli miało to znaczyć, że odechce mi się popełniać je w przyszłości. Odłożyłem na zawsze zapisane zeszyty. Byłem inny, i tyle. Zawsze wiedziałem, że jestem inny. Nie umiałem brnąć

WYKWINTNE ZWŁOKI

przez życie zadowolony, że przeżuwałam byle jaki kęs, który akurat wpadł mi w usta – jak to zdawali się robić wszyscy dookoła. Moi chłopcy byli tylko jedną z rzeczy, które odróżniały mnie od reszty ludzi.

Moich chłopców ktoś kiedyś kochał – ktoś, kto nie musiał okradnąć ich z życia, żeby okazać miłość. Każdy z nich był kiedyś jakimś dzieckiem. Ale ja też byłem dzieckiem, i co mi z tego przyszło? Podobno wyszedłem z łona matki cały siny, z pępowiną zaciśniętą na szyi, i przez kilka pierwszych minut moje życie wisiało na włosku – aż łąpczywie zaczerpnąłem powietrza i zacząłem oddychać samodzielnie. Chłopcy, których zabijałem, mogli urodzić się jako okazy zdrowia, lecz w chwili śmierci byli skończonymi ćpunami używającymi wspólnej igły tak jak pożyczonej chusteczki do nosa, zawsze gotowymi komuś obciągnąć w zamian za kasę albo działkę. Z tych, których jeszcze żywych brałem do łóżka, żaden nie zażądał, żebym użył kondoma, żaden nie oburzył się, że łykam jego spermę. Z perspektywy czasu przypuszczam, że mordując niektórych, ocaliłem czyjeś życie.

Nigdy nie byłem moralizatorem, więc jak miałbym teraz prawić o etyce? Kapryśne, spontaniczne morderstwo nie ma usprawiedliwienia. Mnie zresztą, jak w końcu zrozumiałem, usprawiedliwienie było niepotrzebne. Potrzebowałem tylko powodu, a straszliwa radość tego czynu była powodem dostatecznym. Pragnąłem wrócić do tej sztuki, spełnić swoje oczywiste przeznaczenie. Pragnąłem przez resztę życia robić, co zechcę, i nie miałem wątpliwości, co by to miało być. Świerzbiły mnie ręce spragnione dotyku brzytwy, ciepła świeżej krwi, marmurowej gładkości trzydniowych zwłok.

Postanowiłem wykorzystać wolny wybór.

Zanim zacząłem zabijać chłopców, i później, gdy żadnego nie udawało mi się znaleźć albo nie miałem siły wyjść na łów, praktykowałem czasem coś innego. Zaczęło się od ordynarnej masturbacji, a skończyło na krawędzi mistycyzmu. Na rozprawie nazwali mnie nekrofilem, nie uwzględniając źródłosłowu tego terminu ani głębi jego znaczenia. Byłem przyjacielem zmarłych, kochankiem zmarłych. A najlepszym przyjacielem i kochankiem byłem sam dla siebie.

Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy miałem trzynaście lat. Leżałem na plecach i powoli rozluźniałem wszystkie mięśnie, kończyna po kończynie, włókno za włóknem. Wyobrażałem sobie, że organy mojego ciała przemieniają się w gorzką zupę, a mózg w czaszce topnieje. Czasami przeciągałem brzytwą po klatce piersiowej, żeby widzieć krew ściekającą po żebrach i gromadzącą się w zagłębieniu pępka. Nieraz powlekałem swą naturalnie bladą twarz sino-kredowym makijażem, z czasem dodając tu i tam fioletowe ślady, co było moją własną artystyczną interpretacją zasinień i plam opadowych. Usiłowałem uciec z nienawistnego więzienia ciała; potrafiłem je kochać, tylko wyobrażając sobie, że jestem poza nim.

Po pewnym czasie tych praktyk zacząłem odczuwać w ciele pewne zmiany. Nigdy nie udało mi się całkowicie oddzielić ducha od ciała. W przeciwnym razie zapewne bym do niego nie wrócił. Osiągnąłem jednak stan zawieszenia między świadomością a pustką – stan, w którym miałem wrażenie, że płuca nie czerpią już powietrza, a serce przestaje bić. Nadal słyszałem podprogowy szmer fizjologii, ale nie czułem ani pulsu, ani oddechu. Zdawało mi się, że skóra oddziela się od tkanki łącznej, oczy pod sinawymi powiekami wysychają i całe wnętrze stygnie.

WYKWINTNE ZWŁOKI

W więzieniu też to robiłem od czasu do czasu, rzecz jasna bez makijażu i brzytwy, wspominając tego czy owego z moich chłopców i wyobrażając sobie moje cuchnące życiem ciało obok kochanych zwłok. Pięć lat minęło, zanim olśniło mnie, że mogę swój talent wykorzystać w inny sposób – taki, dzięki któremu kiedyś znów będę mógł tulić do piersi prawdziwego trupa.

Większość czasu spędzałem, leżąc na pryczy. Wdychałem duszną, zawieszistą woń setek mężczyzn, którzy jedzą, pocą się, sika ją, srają i spółkują, żyjąc razem w ciasnej, brudnej przestrzeni, gdzie zwykle raz na tydzień mogą wziąć prysznic. Z przymkniętymi oczami wsłuchiwałem się w rytmy swojego ciała, śledząc kanały i kanaliki krwi, występowanie potu na powierzchnię skóry, równomierne ssanie i uwalnianie powietrza z płuc, nikły, elektryczny szum mózgu i wszystkich jego odgałęzień.

Zastanawiałem się, jak dalece mógłbym to wszystko spowolnić, co dałoby się wyeliminować. Ciekawiło mnie też, czy – gdybym to osiągnął – zdołałbym uruchomić się na nowo. Myślałem o czymś bardziej zaawansowanym niż dziecinne zabawy w trupa. Musiałbym umrzeć tak dalece, żeby oszukać strażników, pielęgniara, a nawet doktora. Czytałem jednak o hinduskich fakirach, którzy zatrzymywali własne serce i dawali się pogrzebać na całe tygodnie bez dostępu tlenu. Wiedziałem, że to możliwe. Przypuszczałem, że mnie też się uda.

Ograniczyłem racje żywnościowe do połowy, a w więzieniu nie karmią zbyt obficie. Na wolności byłem typem smakosza. Często brałem moich chłopców do restauracji przed wieczornymi igraszkami, chociaż uważali moje posiłki za egzotyczne: vindaloo z jagnięciny i płatki chleba nan, chińskie bułeczki z wieprzowiną,

węgorz w galarecie, roladki z liści winorośli, szmaragdowe curry po wietnamsku, etiopski tatar itepe. Żarcie więzienne było albo tłuste, albo mączne, albo kapuściane. Bez trudu zostawiałem połowę na talerzu. Wiedziałem zresztą, że mózg przysłuży mi się lepiej niż żołądek; zawsze tak było. Czułem też, że mizerny wygląd pomoże mi w planowanym zamiarze.

(– Już się nażarłeś, Compton? – To był jedyny komentarz strażnika przynoszącego i wynoszącego miski. Zdobywałem się na wymuszone skinienie głową, wiedząc, że strażnik w ten sposób okazuje mi przyjaźń. Niektórzy strażnicy próbowali mnie zagadywać, pewnie po to, żeby móc w domu opowiedzieć żonie i dzieciakom, że gadali z Wieczystym Gospodarzem. Nie chciałem jednak, żeby ten akurat strażnik zapamiętał nasz dzisiejszy kontakt).

Któregoś dnia specjalnie rozwaliłem sobie czoło o kraty. Strażnikowi powiedziałem, że się potknąłem, za co trafiła mi się wycieczka do izby chorych. Miałem wprawdzie skute ręce i nogi, ale udało mi się rozejrzeć dookoła, gdy gadatliwy pielęgniarz odkażał i zszywał moją ranę.

– Był u was Hummer? – spytałem o więźnia kategorii A, miesiąc wcześniej zmarłego na zawał.

– Artie? Nie, nie umieliśmy ustalić przyczyny śmierci, więc odwieźli go karetką. Sekcja zwłok odbyła się w Lower Slaughter, a to, co z niego zostało, wysłali rodzinie. Artie siedział za zastrzelenie żony i syna, ale miał jeszcze córkę w szkolnym internacie. Pewnie nie ucieszyła się z powrotu tatusia, no nie?

– Co robią z organami po sekcji? – zapytałem, głównie po to, żeby nie zapamiętał mojego jedynego pytania, ale i ze szczerej ciekawości.

WYKWINTNE ZWŁOKI

– Rozrzucają po podłodze, a wypatroszone zwłoki zaszywają. A, i jeszcze zabierają mózg do badań. Interesują ich szczególnie mózgi morderców. Założę się, że i pański mózg, Compton, trafi kiedyś do słoja z formaliną.

– Możliwe – odrzekłem. Całkiem możliwe, że ktoś się zajmie moim mózgiem. Ale nie wyszczerzone łapiduchy z Lower Slaughter, jeszcze czego!

Tego samego dnia pielęgniarz pobrał mi krew, całą fiolkę, chociaż nie wiedziałem po co. Po tygodniu odeskortowali mnie znów do izby chorych, gdzie dowiedziałem się, że coś może mi pomóc bardziej, niż mogłem marzyć.

– Dodatni wynik testu na HIV? – spytałem bladego, spoconego pielęgniarza. – Co to znaczy?

– No wie pan, Compton, może nic. – Ujął w dwa palce cienką broszurkę i bardzo ostrożnie mi ją podał. Zauważyłem, że nosi gumowe rękawiczki. – Ale może też być, że choruje pan na AIDS.

Z zaciekawieniem przejrzałem broszurkę, po czym spojrzałem na smętną twarz pielęgniarza. Miał przekrwione białka oczu i wyglądał, jakby od kilku dni zapominał się ogolić.

– Czytam tu, że wirus AIDS może się przenieść przez kontakt seksualny albo przez kontakt z krwią chorego – zauważyłem. – Pan mi w tamtym tygodniu zszywał ranę. Nie było to dla pana niebezpieczne?

– My tego... Ja tego... – Zapatrzył się na swoje palce w gumowych rękawiczkach i, bliski płaczu, pokręcił głową. – Nikt tego nie wie.

Po powrocie do celi przeczytałem broszurę dwukrotnie, usiłując sobie przypomnieć, co słyszałem wcześniej o tej chorobie

zrodzonej z płynów miłości. Zanim mnie aresztowali, zwróciłem uwagę na osobliwy artykuł w gazecie, ale że nigdy nie pasjonowałem się bieżącymi wydarzeniami, nie sięgałem w więzieniu po prasę. Parę tytułów było w więziennej bibliotece, lecz ja wolałem swój cenny czas spędzać nad książkami. Nie wierzyłem, aby mogły mi jakkolwiek pomóc wiadomości ze świata.

A jednak utkwił mi w pamięci intrygujący zalew doniesień: historycznych nagłówków o HOMOEPIDEMII, zapewnień, że to wszystko robota laburzystów, panikarskie spekulacje, że każdy może się zarazić przez byle co. Mimo to zdołałem upewnić się, że najbardziej narażeni są geje i narkomani używający preparatów dożylnych. Przeszło mi przez myśl, że któryś z moich chłopców mógł mieć AIDS, ale ani w głowie mi nie powstało, że sam mógłbym się zarazić. Przecież zbliżałem się do nich głównie po śmierci, a zakładałem, że wszelkie wirusy umarły wraz z nimi. Teraz jednak wyglądało na to, że istnieje wirus żywotniejszy od młodych mężczyzn.

No, Andrew – powiedziałem sobie – nikt, kto bezczęści sanktuarium dupy martwego chłopaka, nie może oczekiwać, że ujdzie mu to płazem. Ale teraz zapomnij, że możesz zachorować, bo na razie nie jesteś chory, i pamiętaj tylko, że wirus obecny w twojej krwi sprawia, że inni się ciebie boją. I że możesz go użyć przeciwko każdemu, kto się ciebie boi.

Przynieśli mi tacę z kolacją. Zjadłem plaster gotowanej wołowiny, rozmiękły liść kapusty i parę kęsów czerstwego chleba. Leżałem potem na pryczy i gapiąc się na niebieskawą siatkę żył pod skórą ręki, obmyślałem chytry plan opuszczenia Painswick.

* * *

– Compton...

Zacisnąłem powieki i odwróciłem się twarzą do odgłosu morza. Czułem słońce jak płynne złoto rozlewające mi się po policzkach, piersi, chudych nogach. Wcisnąłem palce stóp w chłodny, żyzny piach po cofnięciu się fali. Miałem dziesięć lat i spędzałem wakacje z rodziną na Isle of Man.

– Andrew Compton...

Jaskrawożółte kolcolisty i ciemnofioletowe wrzosi stanowiły ruchomą ścianę, dość wysoką, by ukryć leżącego na plecach chłopczyka, który uparcie ani drgnął, uparcie nie odpowiadał. Nikt na świecie nie wiedział, gdzie jestem, ani nawet kim jestem. Ogarniało mnie uczucie spadania z ziemi w bezkresne błękitne niebo. Utonąłbym w nim jak w morzu, wierzgając rękami i nogami, walcząc o oddech, a zamiast powietrza wsysając krystaliczne hausty obłoków. Obłoki miałyby smak dropsów miętowych i – tak sobie wyobrażałem – momentalnie zmieniałyby moje wnętrzości w bryłę lodu.

Doszedłem do wniosku, że nie miałbym nic przeciwko runięciu w niebo. Spróbowałem się wyluzować, przestać wierzyć w grawitację. Ale ziemia trzymała mnie mocno, jakby chciała mnie w siebie wciągnąć.

No dobra, pomyślałem. To zapadnę się w ziemię. Wypuszczę z ciała pożywne soki, które nasączą korzenie wrzosów, pozwolę robakom i żukom oskubać się z ciała do kości. Ale ziemia także mnie nie chciała. Tkwiałem w pułapce pułapu nieba, ziemi i morza, oddzielony od nich wszystkich, scalony tylko z własnym przeklętym ciałem.

– COMP... TOOON...

Te dwie bezsensowne sylaby brzmiały równie absurdalnie, jak towarzyszący im klangor. Była skrzynka zrobiona z kamienia, w tej skrzynce znajdowała się metalowa sztaba zarzucona cienką szmatą, a na tej szmacie leżał nieruchomy przedmiot z kości obleczonych mięsem. Byłem przytroczony do tego przedmiotu niewidzialnymi więzami, subtelną liną ektoplazmy i przyzwyczajenia. Wszystkie czasy i wszystkie miejsca zdawały się nieustannie ruchomą rzeką. Dopóki nieruchomy przedmiot leżał na brzegu tej rzeki, byłem zanurzony w jej wodach. Tylko subtelna lina ektoplazmy broniła mnie przed zniesieniem w główny nurt. Czułem narastające napięcie tej liny, rozpadanie się efemerycznej tkanki.

Usłyszałem głuchy zgrzyt metalu i kamień i rozpoznałem go jako otwieranie drzwi celi. Szczęknięta odbezpieczana broń i zabrzmiał tupot stóp po zimnym kamieniu.

– Tylko żadnych sztuczek, Compton, bo kula w łeb! Co ty, żarty sobie robisz?

Inny głos odpowiedział:

– Strzel mu w dupę, Arnie, i zobaczymy, czy się ruszy. – Pierwszy strażnik nie odpowiedział echem na wulgarny rechot. Moje mięśnie się nie napięły, powieki nie drgnęły. Ciekaw byłem, czy – jeśli strażnik do mnie strzeli – poczuję, jak pocisk draży tunel w ciele.

Stalowe bransoletki zatrasnęły mi się na nadgarstkach – znane uczucie – a potem gruboskórne paluchy sprawdziły mój puls. Coś zimnego i gładkiego otarło mi się o usta. Strażnik zwany Arniem znów się odezwał, w jego stłumionym głosie pobrzmiwał nabożny lęk.

– Chyba nie żyje.

– Compton nie żyje? Niemożliwe! On jest jak kot, ma tylko dwadzieścia trzy życia.

– Zamknij się, Blackie. On nie oddycha. Puls niewyczuwalny. Lepiej zadzwońmy na izbę chorych.

Kompulsywny morderca bywa dobrym aktorem. Odgrywałem w tej chwili rolę swojego życia: własną śmierć. I wcale nie czułem, żebym grał.

Seria następujących po sobie stopklatek, staccato wspomnień. Hurgot noszy na kółkach w długim korytarzu z pustaków. Moje ciało ciasno przypinane pasami. Kajdanki dalej na rękach – nawet jako umarły zasługuję na skrępowanie. Woń medykamentów i pleśni, po której poznaję więzienną izbę chorych. Lekkie ukłucie w zgięcie ramienia, w podeszwę stopy. Zimny krążek metalu na klatce piersiowej, na brzuchu. Szarpnięcie w górę prawej powieki i promień światła, ostry i cienki jak drut.

Pamiętam, że usłyszałem głos dyrektora więzienia, którego zimne, bładniebieskie spojrzenie świdrowało mnie zawsze tak, jakbym ukatrupił jego pierworodnego syna:

– Nie macie zamiaru zbadać ciała? Musimy wiedzieć, co go zabiło, zanim go stąd wypuścimy.

– Przykro mi, panie dyrektorze. – To powiedział pielęgniarz, który zszywał mi przecięte czoło. Słychać było, że jest zestrachany bardziej niż zwykle. – Andrew Compton miał ostatnio dodatni wynik testu HIV. Mógł umrzeć na powikłania związane z AIDS. Nie jestem uprawniony do zbadania go.

– Do jasnej cholery! Ludzie nie umierają chyba na AIDS z dnia na dzień? Dostają najpierw rozstępów skórnych i innych zmian, no nie?

– Ja się nie znam, panie dyrektorze. To u nas pierwszy przypadek śmiertelny. Większość osadzonych z dodatnim HIV przeniesiono do Wormwood Scrubs. Compton w końcu też by tam trafił.

Moja znękana dusza wzdrygnęła się z rozkoszy. Gdybym wylądował w Wormwood Scrubs, mała byłaby szansa, że wyszedłbym stamtąd żywy czy martwy. Tamtejsze więzienie było największym w Anglii, z własnym szpitalem i kostnicą.

– No tak, nie możemy się tu babrać w chorobach zakaźnych. Zrobią mu sekcję w Lower Slaughter. Zadzwońcie do doktora Mastersa, niech przyjdzie wystawić świadectwo zgonu. Bez świadectwa go stąd nie wezmą.

Z doktorem Mastersem widziałem się dokładnie pięć razy, na dorocznych obowiązkowych badaniach. A teraz zjawił się ponownie. Dłonie miał jak zawsze delikatne i suche, a jego oddech zalał tywał jedliną z podtekstem zgnilizny.

– Biedaczysko – wymamrotał tak cicho, że nikt nie mógł go usłyszeć, kiedy wziął kluczyk od strażnika i rozkuł mi ręce. Na darmo zbadał puls, zdjął ze mnie więzienny uniform, obmacał brzuch i odwróciwszy mnie plecami do góry, wetknął cienki szklany termometr w mój stygnący odbył. A ja rozluźniłem wątle więzy łączące mnie ze światem i wypuściłem duszę poza smoliste fale zapomnienia.

– Na co więc umarł?

– Naprawdę nie mam pojęcia – odrzekł cicho doktor Masters. Były to ostatnie słowa, jakie słyszałem.

Metaliczne pobrzękiwanie, a potem kółka noszy zaszemrały na chodniku. Na terenie więzienia nie było chodników. Nie mogłem ryzykować otwarcia oczu, a nawet gdybym chciał, powieki miałem

ciężkie, jakby je przygniatały worki z piaskiem. Słyszałem podzwanianie jakichś rurek i butelek, przerywany jazgot radiowego skanera, odgłosy ulicy i górujące nad tym wszystkim wycie syreny alarmowej. Znajdowałem się w karetce. Wydostałem się z Painswick. Teraz wystarczyło tylko powrócić do życia. Ale nie od razu.

Przepięli mnie na inne nosze i poturlali obcym korytarzem, w którym odgłos kółek budził szersze echo – jakby ściany w tym gmachu były ze szkła, a nie ze zwietrzałych pustaków. Następny zimny metalowy stół pod gołymi plecami – i nagle znalazłem się w opakowaniu z ciężkiego, szeleszczącego plastiku. W worku na zwłoki.

Gdybym oddychał, we wnętrzu worka w mig zrobiłoby się nieźnośnie ciepło i wilgotno. Zużywszy cały zamknięty ze mną w worku tlen, zapewne bym się udusił. Lecz płuca miałem wyłączone, nasączone jak dwie gąbki wystarczającym na razie zapasem tlenu. Mogłem więc delektować się obecnością w worku na zwłoki i stopniowym stygnięciem ciała. Wedle wszelkich kryteriów wypełniona mięsem koperta skóry zwana Andrew Comptonem była trupem.

Myślałem o latach wielkich epidemii w Londynie, o wąskich, błotnistych uliczkach pozamienianych w ossuaria, o stertach nagich zwłok na wozach ciągnionych przez miasto, o szarzejących trupach w pierwszych fazach rozkładu. Wyobrażałem sobie wszechobecny smród palonych zwłok, fetor choroby, turkot żelaznych kół po szczerbatym bruku, nieustanne nawoływanie: „Wynosicie swoich zmarłych!”. Wyobraziłem sobie, że to mnie rzucają bez pardonu na drabiniasty wóz, na wierzch sterty moich zmarłych współbraci, gdzie ląduję twarzą w obrzękłą twarz ofiary epidemii, z której sączy się ropa, zalewając mi oczy i usta...

Przestraszyłem się, że dostanę erekcji i wszystko się wyda. Całkiem głupio i niepotrzebnie. Wiedziałem przecież, że martwemu mężczyźnie może pięknie stanąć. Lekarze też na pewno to wiedzieli.

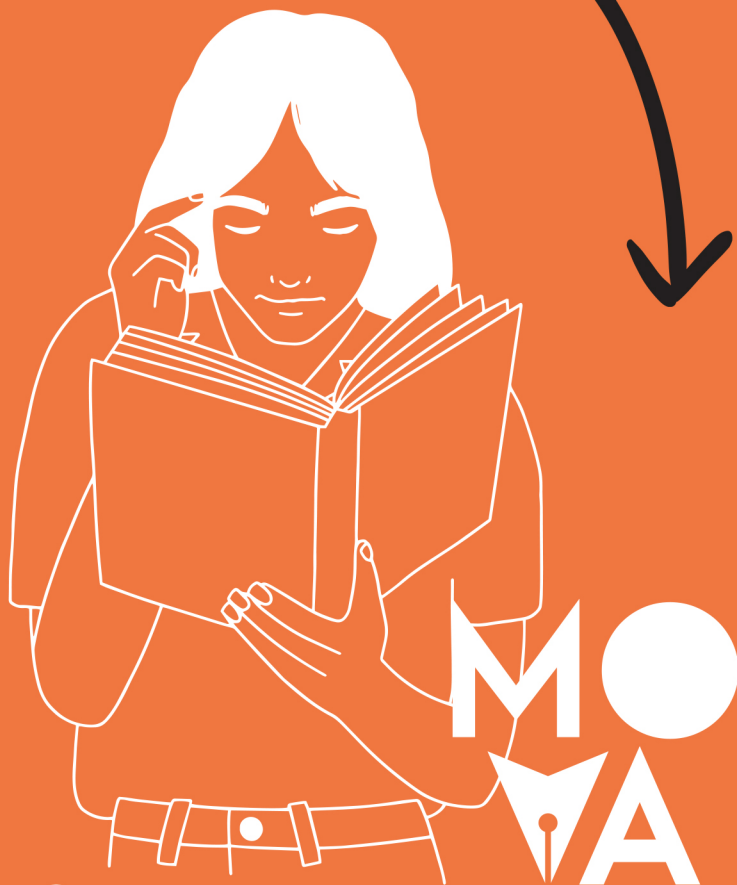
Nagle przez powieki przesączyło mi się ostre białe światło, wydobywając siatkę neonowo czerwonych żyłek. A potem zgasło. Przestałem czuć upływ czasu. W głowie rozbrzmiewały mi echem bezsensowne słowa, lecz i to w końcu minęło. Nie pamiętałem, jak się nazywam ani co się ze mną dzieje. Możliwe, że wirowałem w próżni pozbawionej jakichkolwiek cech i wymiarów – w pustym świecie własnego projektu. Więc to tu zasadzone jest ziarno świadomości w glinie istnienia. Tu poczułem, że mógłbym tak wiecznie wirować, tonąc coraz głębiej. Nie muszę wracać. Już ledwo pamiętałem, po co chciałem wrócić.

Wtedy chyba mogłem umrzeć. W świetle prawa i medycyny już umarłem. Mojego serca nasłuchiowano bezskutecznie – bezskutecznie badano mi puls. Nic łatwiejszego, niż odpuścić.

Lecz w ziarnie świadomości gnieździ się zarazek ego. Nigdy nie wątpiłem, że ego jest tą częścią organizmu, która umiera ostatnia. W oczach niektórych z moich chłopców widywałem ostatni zryw bezsilnej furii, gdy uświadamiali sobie, że naprawdę konają: jak mogło się to przytrafić właśnie im? A czymże był duch, jak nie pozostałością ego niezdolnego uwierzyć, że własne śmiertelne ciało wystrychnęło je na dudka?

Także i mój duch, ego czy dusza – nigdy nie zdradziło mi, jak woli być nazywane – nie chciało się do końca oddzielić od gęstego szarego motka nerwów, który od trzydziestu trzech lat użyczał mu domu. Jak dzięki zwierzę zbyt długo trzymane w klatce, bało się wyjść na zewnątrz po otwarciu drzwi.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova